



Szczesny Wroński

Pisać każdy może

O sieci, fejsbuku
i podobnych fanaberiach

„Ludzie wiersze piszą” – wystarczy wklepać w Google, by pod tym hasłem otworzyło się wiele stron. Gdyby przewertować je cierpliwie, to można znaleźć zarówno coś interesującego, jak i teksty irytujące indolencją literacką, uderzająco wtórne. Na popularnym fejsbuku też czekają na nas różne możliwości. Swoje profile założyło tu wielu poetów, którzy starają się zjednać fanów używając promocyjnych chwytów, by dotrzeć do jak największej liczby czytelników. Jednym z nich jest oznaczanie w poście wielu uczestników portalu, co sprawia, że wiersz pojawia się na ich profilu. To tak jakby ktoś wszedł do twojego domu bez uprzedzenia i rozpoczął bez zbędnych ceregieli prezentację swoich wyrobów, nierzadko wątpliwej jakości. Również gorączkowa częstotliwość tych prezentacji bywa trudna do zniesienia. Wręcz można odnieść wrażenie, że niektórzy piszący cierpią na jakąś obsesję bezzwłocznej publikacji, toteż spotkać tu można twory zaledwie naszkicowane, pozbawione solidnej selekcji i kompozycji – wymagające jeszcze sporo pracy.

Dawniej mówiło się, że „papier wszystko przyjmie”, ale tamten „papier” nie przyjmował „jak leci” i drukowanie nie było tak łatwo dostępne. Liczyły się publikacje w ważnych, ogólnopolskich pismach literackich jak: „Twórczość”, „Życie Literackie”, „Literatura”, „Odra” i wiele innych. W redakcjach zasiadali profesjonalni literaci, krytycy najczęściej

związani z działającym wówczas prężnie Związkiem Literatów Polskich (ZLP) oraz z uniwersyteckimi instytutami literatury. Cokolwiek by można o nich dobrego powiedzieć (coś złego też by się znalazło), to przede wszystkim to, że strzegli podstawowych wartości artystycznych i nadsyłane przez autorów utwory poddawane były wstępnym oględzinom pod względem tzw. poziom drukowalności. Zakwalifikowany tekst, „nadający się do druku”, musiał być co najmniej poprawny, w miarę świeży i posiadać cechy własnego języka. Na dalszym etapie – poszukujący, zanurzony w jakimś ważnym kontekście, opisujący świat w sposób niebanalny i wciągający czytelnika. W tamtych, dziś często pogardzanych czasach, trudno było wyobrazić sobie poetę, który nie znałby, choćby w zarysie, historii polskiej i światowej literatury, nie studiował (choćby samodzielnie) teorii literatury, by pogłębić własną świadomość warsztatową i doskonalić umiejętności formułowania dzieła. Dotyczyło to również rozeznania w podstawowych nurtach filozofii, socjologii, religioznawstwa i wielu innych działów ludzkiej penetracji rzeczywistości, które mogą przybliżyć zrozumienie i zainspirować. W roku 1964 ukazała się „antyromantyczna powieść autobiograficzna” Jean Paul Sartre’a pt. „Słowa” (polskie wydanie 1965). W tym samym roku przyznano mu za nią Nagrodę Nobla. Werdykt jury podkreślał wypełniające dzieło idee wolności i poszukiwania prawdy, które miały znaczący wpływ na rozwój myśli humanistycznej XX wieku. Jednak autor odmówił przyjęcia nagrody z obawy przed utratą niezależności. Sartre podzielił powieść na dwie części: „Czytanie” i „Pisanie”. Właśnie. Nie da się stworzyć niczego wartościowego bez nasycenia się tradycją i nawiązania z nią twórczego dialogu. Twórczość to kontynuacja lub negacja tradycji, bywa połączona z próbą stworzenia nowego kanonu estetycznego, co w sztuce nie tak rzadko się zdarza. Jedna i druga postawa ma szansę zaistnienia tylko „wobec”, bo niczego autentycznego nie da się stworzyć w próżni.

Dawniej, na wstępnym etapie wchodzenia w profesjonalną twórczość, ambicją większości adeptów było poznanie, (choćby wyrwykowe) podstawowych dzieł tzw. kamieni molowych literatury. Taka postawa wynikała z głodu poszukiwania prawdy, potrzeby znalezienia własnego stosunku do świata i własnej (!) drogi twórczej. Twórca nie zastanawiał się jak napisać, żeby sprzedać (co dzisiaj bywa regułą), lecz jak najlepiej „uchwycić”, nie tylko metaforycznie i kompozycyjnie, ale również od strony formalnej, by wyrazić to co swoiste i zarazem uniwersalne, co mogłoby ocalić przekaz od bylejakości i tandety. W moim wielokrotnie publikowanym szkicu „POP-POEZJA” (*) tak ująłem komercyjne oblicze sztuki: *Sprzedajność (sprzedawalność) i użyteczność wyznaczają kryteria dzisiejszej sztuki. Kiedyś elitarna dama, pożądany gość na salonach, dzisiaj trafia na place miast, do knajp i sklepów – wszędzie tam, gdzie ludzie nastawieni są na wielkie żarcie. Współczesny neofita*

*hipermarketycznego labiryntu spoziera mimochodem na dzieła Słowackiego leżące jak sardynki na półce, w pobliżu bielizny damskiej, koszul, abażurów, lampek nocnych. Smakowita dziewczyna z obnażonym brzuszkiem spogląda z ukosa na księgę w bordowej twardej oprawie, gładzi od niechcenia złoczone litery – potem rzuca ją jak niepotrzebny łach i zaczyna grzebać w biustonoszach. Co za prymitywna małpa. Nie chciało jej się nawet otworzyć dzieła wieszczą a teraz znika raz po raz w przymierzalni. (...)**

Dzisiaj, na szczęście lub nieszczęście dla literatury, zniknęła bariera publikacji. Sieć internetowa, a w szczególności wszechwładny Facebook stały się otwartą areną, na której odbywają się nieskrepowane harce z kulturą i odziedziczonymi przez tysiąclecia wartościami. Tutaj każdy może być wyrocznię i kpić do woli z wysiłku twórczego innych, nie podając żadnych merytorycznych argumentów. Wciąż pojawiają się i rosną jak przysłowiowe grzyby nowe portale kreujące artystycznych wieszczów. Bez problemu można stworzyć własną stronkę, nazwać ją np. „Najwięksi poeci polscy” i wpasować swoje teksty pomiędzy Miłosa i Szymborską. Trwa ogólnopolska, a może i światowa bitwa o lajki, o przyciągnięcie do „własnej” (czy naprawdę własnej?) twórczości jak najszerzej publiku. W tym celu używa się dopelnaczy wizualnych (zdjęć, obrazów, rysunków) zarówno autorstwa profesjonalistów jak i amatorów), których celem jest dowartościowanie dzieła. To prawda, że żyjemy w epoce tzw. kultury obrazkowej i dobrze wpuszczona fotka działa jak wabik na czytelnice rybeńki, tudzież grube rybska. To „interdyscyplinarne” oblicze autoprezentacji byłaby jeszcze do zniesienia, gdyby nie ich zawrotna częstotliwość. Najczęściej dotyczy to słabych, schematycznych tekstów, w których autorzy niewiele mają do powiedzenia poza ujawnianiem swoich fobii i frustracji lub obsesyjnym powielaniem cukierkowych zachwytów nad urodą świata. Tę wciąż rosnącą inklinację, tak kiedyś opisałem w mojej „Pop-poezji”: *(...) Żyjemy w czasach wzmożonego poezjowania i wierszykowania, co słusznie kojarzy się z niegdyś ulubionym zajęciem gospodyń domowych – szydełkowaniem. Taki poeta siedzi sobie i patrzy a co zobaczy, zapisuje, byle do rymu i jak najwięcej. A jak nie uda się do rymu to może w stylu tego, co jest aktualnie na topie, haiku albo czegoś tam jeszcze, co pachnie nowością albo trąci myszką (...).*

Czasem mam wrażenie, że pączkująca „Rzeczpospolita Poetów” w sieci (tę sieć można odczytać tutaj jako metaforę) jest w przeważającej części do znudzenia pospolita i nijaka, a tak chciałoby się doświadczać „Rzeczy(nie!)pospolitej”, bo istotą sztuki jest przecież nie tworzenie coraz to nowych kalek (tu podwójność znaczeniowa ma swoją wymowę), lecz swoistość i wynikająca z niej oryginalność. Na naszych oczach rozgrywa się dzień w dzień nieustanny wyścig i gorączkowa rywalizacja na ilość zaliczonych publikacji, konkursów krajowych i światowych, oraz festiwali poetyckich.